

ROBERT HUGH BENSON

WŁADCA ŚWIATA



Dlaczego „Władcę świata” poleca Papież Franciszek?

Dlaczego uważa powieść za proroctwo?

Przeczytajcie, a zrozumiecie.

GRZEGORZ GÓRNY

**JEŚLI PRZERAZIŁA CIĘ PROROCZA WIZJA „OBOZU ŚWIĘTYCH”,
„WŁADCA ŚWIATA” POWALI CIĘ NA KOLANA**

ROBERT HUGH BENSON

WŁADCA ŚWIATA

Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ
STEFAN BARSZCZEWSKI

FRONDA

Okładka
Fahrenheit 451

Zdjęcia na okładce
Fotolia.com

Tłumaczenie
Stefan Barszczewski

Redakcja i korekta
Andrzej Olejnik

Dyrektor projektów wydawniczych
Maciej Marchewicz

Skład i łamanie
TEKST Projekt, Łódź

ISBN 978-83-8079-125-1

Copyright © for Fronda PL Sp. z o.o., Warszawa 2017
Wstęp Copyright © by Paweł Milcarek

Wydawca
FronDA PL, Sp. z o.o.
Ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
Tel. 22 836 54 44, 877 37 35
Faks 22 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl

www.wydawnictwofronda.pl
www.facebook.com/FronDAWydawnictwo
www.twitter.com/Wyd_FronDA

Spis treści

| | |
|------------------------------|-----|
| Biografia | 7 |
| Wstęp | 9 |
| Prolog..... | 15 |
| Księga I. Nadejście..... | 23 |
| Księga II. Spotkanie..... | 103 |
| Księga III. Zwycięstwo | 253 |

Biografia

Jeden z wybitnych konwertytów początków wieku XX, Robert Hugh Benson urodził się 18 listopada 1871 roku. Jego ojciec był duchownym anglikańskim, w roku 1876 został biskupem, a w sześć lat potem arcybiskupem Canterbury. Zmarł nagle w 1896 roku.

Młody Hugon zaczął w 1891 roku studiować teologię i został duchownym anglikańskim. Z katolicyzmem zetknął się od początku swych studiów teologicznych, najpierw w książkach czy rozmowach szkalujących katolicyzm i głoszących powody, dla których nie powinno się łączyć z Kościołem Rzymskim. Po długich, kilkoletnich zmaganiach wewnętrznych został w 1903 roku przyjęty na łono Kościoła katolickiego, a w roku następnym przyjął w Rzymie święcenia kapłańskie. Zmarł w 1914 roku.

Pobył w Rzymie wywarł na nim wielki wpływ, co zaznaczyło się w dwóch jego najbardziej znanych powieściach: *Władca świata* (*Lord of the World*) i *Brzask wszechrzeczy* (*The Down of All*). Obie te powieści dotyczą przyszłości. Pierwsza wychodzi z założenia, że proces w świecie idący w kierunku usuwania chrześcijaństwa rozwija się konsekwentnie i prowadzi do panowania Pana świata, którym jest Szatan. Powieść jednak nie

jest pesymistyczna, ponieważ kończy się zwycięstwem Chrystusa nad szatanem. Powieść *Brzask wszechrzeczy* jest literacką odpowiedzią na pytanie, czy i w jakich warunkach może się dokonać nawrót do zdecydowanego wcielenia zasad Chrystusowych w życie prywatne, społeczne i polityczne świata.

Wśród innych prac Bensona zasługują na uwagę: *Wyznania konwertyty*, w których autor przedstawia swą drogę do Kościoła katolickiego; *Paradoksy katolicyzmu* dzieło apologetyczne; *Przyjaźń Chrystusowa o łasce: Chrystus w Kościele* dzieło apologetyczne, szczególnie dla protestantów.

Wstęp

Powieść *Władca świata* i jej autor, Robert Hugh Benson są obecnie niemal nieznani w Polsce. Jest to po części skutek skrupulatnego działania cenzury w okresie rządów komunistycznych: utwór, wydawany w polskim przekładzie Stefana Barszczewskiego przed drugą wojną światową, został zakazany w 1951 roku, czyli od razu w pierwszej fali sowietyzacji. Obecne w bibliotekach egzemplarze miały być zgodnie z zarządzeniem władz natychmiast usunięte. W przypadku wielu autorów ten zabieg oznaczał trwałe wyeliminowanie ich z obiegu czytelniczego. Wydawano *Władcę świata* na emigracji, ale nie miało to wpływu na sytuację w kraju.

Sprawa przedstawia się inaczej w Anglii i w zasięgu anglofonii: tutaj mimo upływu czasu, zmiany gustów literackich i związanej z tym utraty pewnych docenianych walorów, *Władca świata*, napisany w 1907 roku, zachowuje pozycję dzieła godnego uwagi, stojącego na początku szeregu z utworami docenianymi także u nas: *My* Jewgienija Zamiatina (1921), *Nowym wspaniałym światem* Aldousa Huxley'a (1932) czy *1984* George'a Orwella (1948). W powieści Bensaona widzi się bowiem jedną z pierwszych „dystopii”, czyli utworów będących odwrotnością

„utopii”, opowiadających o świecie pogrążonym w koszmarze. Zarówno utopia, jak i jej przeciwieństwo to z zasady literatura fikcji, jednak dystopią nazywają specjaliści jedynie taką wizję, w której opisywany stan świata jest przewidywany na podstawie procesów obserwowanych we współczesności autora.

Autor *Władcy świata* urodził się w 1871 roku, jako najmłodszy syn anglikańskiego arcybiskupa Canterbury. Miał braci, którzy podobnie jak on sam pozostawili swój ślad jako literaci angielskiej epoki Edwardiańskiej. Robert szedł początkowo drogą kariery duchownego anglikańskiego, lecz w roku 1903 nawrócił się do Kościoła katolickiego, a rok później otrzymał ważne święcenia kapłańskie w Rzymie.

Dorobek literacki księdza Bensona jest bogaty, także gatunkowo. Dość wspomnieć, że mamy tu i charakterystyczne dla literatury angielskiej „opowieści niesamowite” (w tomiku *Światło niewidzialne*), i eseje apologetyczne, i autobiograficzne *Wyznania konwertyty*.

Robert H. Benson zmarł w 1914 roku, kilka tygodni po wybuchu pierwszej wojny światowej. Świat, który był jego współczesnością – polityczną, kulturową, społeczną – miał się wtedy zacząć rozpadać z coraz większą szybkością; jednak Benson nie miał już okazji tego widzieć, umarł na ostatnim skraju czasowym *belle époque*. W odróżnieniu od wspomnianych wyżej słynnych dystopii Zamiatina czy Huxley’a lub Orwella, wizja Bensona kreślona była przed wszystkimi potężnymi krachami Europy: przed Wielką Wojną i rewolucją bolszewicką, przed końcem wielkich monarchii, ich realnej władzy i imperialnego zasięgu, przed prawdziwym zaistnieniem Stanów Zjednoczonych na forum świata, przed pokazem siły wielkich ideologii totalitarnych i przed jakimikolwiek ruchami zjednoczenia Europy.

Świat przyszłości, przedstawiony we *Władcy świata*, posiada oczywiście pewne rysy epoki, w której powstał – jednak przeważa w nim coś w rodzaju proroczego widzenia, nawet jeśli nie są to dokładnie rysy naszej współczesności.

W świecie przedstawionym we *Władcy świata* liczą się tylko trzy siły duchowe: katolicyzm, humanitaryzm i religie Wschodu. O tych ostatnich dowiemy się najmniej, natomiast dramatyczna akcja książki wynika z apokaliptycznej konfrontacji Kościoła i świeckiego humanitaryzmu.

Humanitaryzm jest ideologią panującą w krajach Zachodu, w „zjednoczonej Europie”. Jest równocześnie wrogi chrześcijaństwu i jednak powstały jakby wskutek pewnej operacji przeprowadzonej na chrześcijaństwie: stworzyli go ludzie należący do społeczeństw niegdyś chrześcijańskich, usuwając z kultury chrześcijańskiej pierwiastek nadprzyrodzoności i w ogóle więź z Bogiem różnym od świata. W to miejsce humanitaryzm wprowadził mglistą duchowość typu panteistycznego (jako żywo przypominającą New Age znany nam z lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku). Jednak panteistyczne medytacje są przedmiotem zainteresowania nielicznych, natomiast masy – kierowane przez emocjonalną pożywkę z gazet – pasjonują się raczej wielkimi ruchami społecznymi: dążenie do zjednoczenia świata i wyeliminowania z niego niepokojów jest najważniejszym tematem społecznych przeżyć.

Humanitaryzm, jako ideologia dominująca, tworzy parę z demokracją, jako ustrojem państwowym, z partią socjalistyczną w roli głównej. Istotną i już w ogóle nieskrywaną rolę odgrywa masoneria, organizacja niejako zastępująca Kościół w życiu społeczeństwa. Potrzebne temu nowemu społeczeństwu rytuały i święta są kopiami rytuałów masońskich, przyrządzanymi fachowo przez księży odstępców, wciąż świetnie czujących się w masowych celebrach.

Na ten nowoczesny laicki świat patrzymy z perspektywy Londynu, przez pryzmat życia przedstawicieli jego elity: polityka europejskiego Olivera Branda i jego żony Mabel. W tle przesuują się tłumy – wyciszone i szare na co dzień, zaś dziękorożnie rozemocjonowane gdy trzeba świętować kolejne etapy zjednoczenia świata lub ścigać katolików rozpoznanych jako podejrzanych o zamachy na przywódców ludzkości. Codziennosc jest

racjonalnie zorganizowana, masy ludzi przenoszą się bezszelestnie kanałami komunikacyjnymi do pracy i z niej. Jest jakoś szaro i bezwonne, dba się o wyciszenie wszelkich hałasów. Jeśli zdarzy się jakiś wypadek, natychmiast na miejscu zjawia się „służba eutanazji”, by oszczędzić cierpień poranionym; zresztą eutanazja jest wyjściem do wyboru dla każdego kto chce „odejść z godnością”.

Jedyną duchową alternatywą dla tej mieszanki humanitaryzmu i liberalnego socjalizmu jest Kościół i stworzona kiedyś pod jego wpływem cywilizacja chrześcijańska. Katolicy są już jednak mniejszością w morzu bezreligijnych społeczeństw Zachodu. Mniejszością, w której wzrastające ciśnienie okoliczności przyspiesza ekstatyczną świętość jednych, ale i apostazję drugich.

Władca świata nie jest opowieścią o życiu wewnętrznym, lecz wątek zmagania duchowych jest obecny: towarzyszymy głównemu bohaterowi, księdzu Percy’emu Franklinowi – w Londynie, Rzymie i Ziemi Świętej – w jego kolejnych etapach wewnętrznej kontemplacji Chrystusa cierpiącego w Jego ciele mistycznym. Z drugiej strony – obserwujemy też duchowe poszukiwania Mabel, żony polityka republiki europejskiej.

W powieści Bensona widzimy dwóch papieży: najpierw Jana XXV, panującego przez kilka dziesięcioleci obrońcę wiary świadomie upodobnionego do świętego Piusa X (w którego czasach powstawał utwór!); następnie – wybranego w trybie nadzwyczajnym Sylwestra II, pasterza czasów dosłownie ostatecznych. Dwóch papieży – ale przedstawiony nam styl papieżstwa składa się z trzech warstw.

Pierwsza to Rzym papieski odmalowany jako barwna enklawa tradycji, przyciągająca do siebie wszystkie osobistości starej cywilizacji chrześcijańskiej, na czele z monarchami wypędzonymi ze swoich królestw, teraz służącymi papieżowi do uroczystej mszy. Ta enklawa „dawnego życia” jest jakby kompletnym przeciwieństwem szarości i funkcjonalności nowoczesnych miast. W Rzymie żyje się z manifestacyjną

staroświeckością (dość powiedzieć, że kardynałowie jeżdżą karocami, a papież – na mule...).

Jednak w środku tej wydzielonej przestrzeni konserwatywnego buntu przeciw unifikacji i ubóstwionej nowoczesności znajduje się nagle winda i maszyna do pisania, które uprzedzają, że Kościołem zarządza się – w sumie – bardzo nowocześnie. W reakcji na zmiany w świecie rządu w Kościele zostały maksymalnie scentralizowane, papież rządzi regionami przy pomocy wyznaczonych dla nich kardynałów protektorów czuwających w Rzymie, a kontaktujących się codziennie z siatką księży sprawozdawców. Pozycja ordynariuszy jest niezauważalna, zaś wszystkie zakony zostały decyzją papieża sprowadzone do trzech.

I jest jeszcze warstwa trzecia: papieństwo Kościoła apokaliptycznego, posługujące się przede wszystkim specjalnie stworzonym superzакonem, „podobnym do jezuitów, lecz wolnym od ich złej renomy”. Papież pozostaje tu centralą, lecz – pozbawiony możliwości działania z Rzymu i wszystkich swoich urzędów rzymskich – patronuje już jedynie garstce wiernych, gotowych na męczeństwo w warunkach zaciskającej się pętli krwawych i administracyjnych prześladowań.

Nie odkrywając tutaj wszystkich sekretów opowieści, powiedzmy jeszcze tylko, że momentem napędzającym akcję i wywołującym kolejne fazy w zderzeniu humanitaryzmu i katolicyzmu jest pojawienie się na horyzoncie, a potem w centrum akcji genialnego polityka Juliana Felsenburgha. Spełniając marzenia o pokoju i dalszej unifikacji, ten „prezydent Europy” jest dosłownie ubóstwiany, przydając dotychczasowej bezosobowości systemu socjalizmu element spersonalizowanego absolutyzmu. Tutaj jednak dotykamy już tajemnicy kryjącej się w tytule: *Władca świata*.

W narracji Bensona jest oczywiście także wiele elementów, które brzmią dziś archaicznie i przeszkadzają w odbiorze książki jako proroczej, sięgającej istoty naszych obecnych zmaganiań. Jednak gdy w styczniu 2015 roku Franciszek został zapytany

przez dziennikarza, co ma na myśli, kiedy mówi o „kolonizacji ideologicznej”, papież przywołał właśnie ten utwór. Radzę wam to przeczytać – mówił papież – mimo że na początku jest trochę ciężka. „Jest to książka, której autor zobaczył w tamtym czasie dramat kolonizacji ideologicznej... Czytając tę książkę, zrozumiecie dobrze, co rozumiem przez kolonizację ideologiczną”.

Franciszek mówił o tej samej książce przynajmniej jeszcze jeden raz wcześniej. Gdy w homilii z 18 listopada 2013 roku dzielił się uwagą, że „także dzisiaj duch światowości prowadzi nas do progresywizmu, do uniformizmu myślenia”, zaraz wymienił utwór Bensona, mówiąc, że pokazuje on jak duch świata prowadzi do apostazji, „niemal jakby to było proroctwo, jakby przewidywał co się stanie”.

Dodajmy, że już w lutym 1992 roku na utwór Bensona zwracał uwagę publicznie kardynał Joseph Ratzinger – wtedy gdy reagował krytycznie na pojawiające się wówczas hasło budowania „nowego porządku świata”, *New World Order*. Kardynał porównał to hasło do opowieści Bensona o „podobnie zunifikowanej cywilizacji i jej mocy niszczenia ducha”.

Zapewne więc jeśli ktoś sięgnie dziś do *Władcy świata* jako do „antyutopii”, nie będzie rozczarowany. Oby się tylko nie przeraził...

Paweł Milcarek

Prolog

– Niech pomyślę chwilkę – rzekł starzec, przechylając się w fotelu.

Percy skrzywił się na krześle i czekał, oparłszy podbródek na dłoni.

Pokój, w którym znajdowali się trzej mężczyźni, był bardzo cichy iumeblowany niezmiernie praktycznie, stosownie do wymagań czasu. Nie posiadał okien ani drzwi, gdyż od sześćdziesięciu już lat świat, doszedłszy do przeświadczenia, że można mieszkać nie koniecznie tylko na powierzchni ziemi, zaczął na serio żyć w jej głębinach. Toteż dom pana Templetona znajdował się o jakieś czterdzieści stóp pod powierzchnią brzegów Tamizy, w dość wygodnym, jak uważano, położeniu, bo zaledwie sto jardów od drugiej linii centralnej superautostrady i o ćwierć mili od stacji szybowców przy moście Braci Czarnych.

Zgodnie z wymaganiami urzędu zdrowia wszystkie ściany pokoju okrywała zielonkawa emalia, przypominająca barwę lasów na wiosnę, opromieniało zaś go sztuczne światło słoneczne, wynalezione przez wielkiego Reutera przed czterdziestu laty, a przyrządy automatyczne odświeżały powietrze i utrzymywały temperaturę dokładnie plus osiemnastu stopni Celsjusza.

Pan Templeton był człowiekiem skromnych wymagań, zadowolonym ze sposobu życia, jaki wiedli jego przodkowie. I meble przypominały więc też kształtem dawne czasy, jakkolwiek, zgodnie z obyczajem panującym obecnie, pokrywała je miękka emalia azbestowa, naciągnięta na żelazo, niezniszczalna, przyjemna w dotyku i podobna z wyglądu do mahoniu. Kilka dobrze wypełnionych szafek bibliotecznych stało z obu stron piedestału z elektrycznym kominkiem, przed którym siedzieli właśnie trzej mężczyźni, w dalszych zaś kątach pokoju widniały dwie windy hydrauliczne: jedna do pokoju sypialnego, druga zaś do korytarza prostopadłego, kończącego się na brzegu rzeki.

Ojciec Percy Franklin, starszy z dwóch księży, rozmawiających z panem Templetonem, posiadał postać uderzającą. Pomiędzy bowiem, że liczył nie więcej, jak trzydzieści pięć lat, włosy jego były całkiem siwe. Spod brwi gęstych i czarnych wyglądały oczy szare, niezwykle połyskujące i prawie namiętne, ale nos wydatny, podbródek i usta zarysowane twardo zwiastowały siłę woli. Ludzie obcy, rzuciwszy na niego okiem, zwykle przyglądali mu się powtórnie.

Drugi natomiast z księży, ojciec Francis, siedzący na fotelu z drugiej strony kominka, nie wybiegał poza pospolitość. Miał wzrok przyjemny, czuły, ale rysy twarzy nie oznaczały mocy charakteru. Kąciki warg i ciężko opadające powieki zwiastowały raczej usposobienie podobne do kobiecej melancholii.

Co się zaś tyczy pana Templetona, był to człowiek bardzo stary, o twarzy czerstwej, aczkolwiek pokrytej zmarszczkami, wygolony gładko, jak reszta ówczesnych ludzi. Obecnie leżał przechyłony na fotelu, z plecami opartymi o poduszki i nogami przykrytymi derką.

Percy przyglądał się przez czas dłuższy mapom, rozłożonym na kolanach.

– Tak, wszystko to przedstawia się bez wątpienia daleko prościej – szepnął wreszcie, porównując liczne plamy barwne na mapach wieku dwudziestego z trzema wielkimi plamami map wieku dwudziestego pierwszego.

Posunął palcem wzdłuż Azji. Wyrazy: „Cesarstwo Wschodnie” biegły w poprzek plamy blado-żółtej, rozciągającej się od Uralu do cieśniny Beringa, skrecającej ogromnymi głoskami ku Indiom. Spojrzał następnie na plamę czerwoną. Była o wiele mniejszą, choć wcale znaczną, jeżeli zważymy, że obejmowała całą Europę od Uralu po Afrykę. Wreszcie plama niebieska z napisem: „Rzeczpospolita Amerykańska” obejmowała cały ląd amerykański, rozpraszając się na lewej stronie półkuli zachodniej w tysiącu plamek niebieskich wśród Oceanu Spokojnego.

– Tak, istotnie, przedstawia się to prościej – potwierdził sucho starzec.

Percy zamknął księgę i oparł ją o swoje krzesło.

– Ale cóż dalej, panie? – spytał. – Co będzie?

Stary mąż stanu, przedstawiciel stronnictwa torysów uśmiechnął się.

– Bóg wie – odparł. – Jeżeli Cesarstwu Wschodniemu spodoba się ruszyć przeciw nam, to jesteśmy bezsilni. Nie wiem nawet doprawdy, dlaczego dotychczas nie ruszyło. Przypuszczam, że chyba z powodu sporów religijnych.

– A Europa nie podzieli się? – spytał kapłan.

– Nie, nie! Znamy teraz nasze niebezpieczeństwo. I Ameryka poprze nas z pewnością. Niemniej powiem: niech Bóg ma w swej opiece nas, a raczej was, jeżeli Cesarstwo Wschodnie ruszy. Jest ono nareszcie świadome swoich sił.

Przez chwilę panowała cisza w pokoju, który zadrgał lekko pod wpływem jakiejś ciężkiej maszyny, sunącej gładko po szerokim bulwarze na powierzchni ziemi.

– A niech pan powie – odezwał się nagle Percy – jak pan sądzi, jak ułożą się w przyszłości sprawy religijne?

Pan Templeton odetchnął zawartością przyrządu trzymanego w ręce, po czym mówił:

– Krótko mówiąc, istnieją obecnie trzy siły: katolicyzm, humanitaryzm i religie Wschodu. O tych ostatnich nic powiedzieć nie mogę, jakkolwiek sądzę, że sufisi zwyciężą. Wszystko zdarczyć się może...

Nie ulega natomiast wątpliwości, że w Europie i Ameryce walka rozegra się między katolicyzmem i humanitaryzmem. Wszystko inne możemy pominąć. I sędzę, jeżeli chcecie wiedzieć, co sędzę, zapatrując się na te sprawy po ludzku, że katolicyzm będzie teraz szybko tracił na sile. Prawdą jest zupełną, że protestantyzm zakończył życie. Ludzie bowiem zrozumieli narzeczcie, że religia nadprzyrodzona pociąga za sobą konieczność istnienia autorytetu absolutnego, i że zdania osobiste w sprawach Wiary nie są niczym innym, jak tylko początkiem rozkładu. Prawdą jest także, że ponieważ Kościół katolicki stanowi instytucję jedyną, która przyznaje sobie autorytet nadprzyrodzony z całą jego nieubłaganą logiką, przyłączyli się przeto do niego niemal wszyscy chrześcijanie, którzy nie utracili jeszcze wierzeń nadprzyrodzonych. Bardzo to dobrze. Z drugiej wszelako strony musicie pamiętać, że wbrew wszelkim przewidywaniom, humanitaryzm zaczyna sam zamieniać się powoli w religię istotną, acz nie nadprzyrodzoną. Jest to panteizm rozwijający pod wpływem masonerii własny rytuał. Credo jego stanowi: „Bóg to człowiek”. Idealizuje, a pomimo to nie stawia żadnych żądań władzom duchowym człowieka. Poza tym ma do rozporządzenia wszystkie kościoły, prócz naszych i wszystkie katedry. Wreszcie wolno mu ujawniać swoje symbole, a nam nie wolno. Toteż sędzę, że najpóźniej za lat dziesięć panteizm będzie legalnie uznany za Kościół panujący.

Tymczasem, nie zapominajcie, że my, katolicy, ponosimy tylko straty. Tracimy stale od lat przeszło pięćdziesięciu. Obecnie jedna czterdziesta Ameryki należy nominalnie do nas i to dzięki jeszcze ruchowi katolickiemu na początku wieku dwudziestego. We Francji i Hiszpanii jakbyśmy nie istnieli. W Niemczech liczba katolików zmniejszyła się znacznie. Nie straciliśmy bez wątpienia stanowiska naszego na Wschodzie, ale i tam, jak opiewają dane statystyczne, jeden tylko katolik przypada na dwustu ludzi, przy tym katolicy są tam rozproszeni. We Włoszech? Hm, Rzym... należy wprawdzie znów do nas, lecz poza tym nic nie posiadamy. Tutaj mamy za sobą Irlandię, tudzież

jedną sześćdziesiątą Anglii, Walii i Szkocji. Nie należy wszelako zapominać, że siedemdziesiąt lat temu jedna czterdziesta ludności wyznawała naszą wiarę.

Poza tym podkreślić należy ogromny rozwój psychologii, co najmniej od stu lat wymierzony w nas. Z początku, widzicie, istniał po prostu tylko materializm. Podupadł potem nieco, gdyż był zanadto surowy, aż psychologia pospieszyła mu na ratunek. Obecnie psychologia rości sobie pretensję do całej reszty pola działania... Tak, ojcze, tracimy grunt i tracić go będziemy coraz bardziej. Sądzę nawet, że powinniśmy być przygotowani na to, że lada chwila nastąpi katastrofa.

– Ależ... – zaczął Percy.

– Sądysz, ojcze – przerwał pan Templeton – że to słabość ze strony człowieka, stojącego nad grobem. Trudno, tak jest, jak mówię, i nie widzę wyjścia. Zdaje mi się nawet, że rychło coś na nas spadnie. Nie, ojcze, sytuacja jest beznadziejna, chyba, że...

Percy spojrział bystro na mówiącego.

– Chyba – powtórzył stary mąż stanu – że Pan nasz powróci... Książdz Francis westchnął i zapanowało milczenie.

Po chwili Percy zmienił nagle temat rozmowy.

– Cóż słyhać – spytał – o owym projekcie parlamentu europejskiego?

– Och, sądzą, że przejdzie, jeżeli znajdzie się człowiek, który by go poparł. Cały wiek ubiegły, jak wiecie, dążył ku temu. Szowinizm narodowościowy wymierał szybko. I powinien był zniknąć jak niewolnictwo i temu podobne pod wpływem Kościoła katolickiego. Dokonano jednak tego poza Kościołem, skutkiem czego świat zaczyna zwierać szeregi przeciwko nam. Jest to niejako antagonizm zorganizowany, coś w rodzaju katolickiego przeciwkościoła... Jeżeli projekt owego parlamentu przejdzie, to my, katolicy, możemy spodziewać się czegoś w rodzaju prześladowania... Z drugiej wszelako strony zbawić nas może najście Wschodu, jeżeli dojdzie do tego... Nie wiem...

Percy siedział cicho przez krótką chwilę, po czym zerwał się z krzesła.

– Trzeba iść! – zawołał w esperanto. – Już po dziewiętnastej. Dziękuję panu bardzo. Czy idziesz także, ojczy?

Ksiądz Francis powstał również, poprawiając ciemnoszary strój, który mogli nosić tylko księża i wziął w dłonie kapelusz.

– Zajrzyjcie – mówił starzec – znów kiedyś do mnie. Sądzę, że nie byłem zanadto gadatliwy. Zapewne musisz jeszcze wysłać swój list.

– Tak – odparł Percy, skinąwszy głową. – Połowę napisałem już dzisiaj rano, czułem jednak, że potrzebny mi jest jeszcze przegląd retrospektywny zdarzeń, zanim wyrobię sobie właściwe zdanie. Toteż dziękuję panu bardzo. Wielka to, istotnie, praca ten list codzienny do kardynała protektora. Myślę nawet o zrezygnowaniu z tego stanowiska, jeżeli otrzymam pozwolenie.

– Nie czyń tego, kochany ojczy. Niech mi będzie wolno powiedzieć ci w oczy, że posiadasz umysł bardzo bystry. Rzym zaś nie może zdołać uczynić bez zrównoważonych informacji. A nie sądzę, aby wśród twoich konfratrów znalazł się człowiek tak skrupulatny pod tym względem.

Percy uśmiechnął się, podnosząc czarne brwi protestująco.

– Chodź, ojczy – rzekł do towarzysza.

Wyszedłszy z korytarza, księża rozeszli się i Percy stanął, spoglądając przez kilka minut na znany dobrze krajobraz jesienny, jakby usiłując zrozumieć go lepiej. Bo to, co słyszał tam na dole z ust starca, zdawało się przedstawiać w dziwnym świetle tę wizję wspaniałego dobrobytu, jaką miał przed oczyma.

Powietrze jaśniało, jak we dnie, sztuczne bowiem światło słoneczne obejmowało wszystko i Londyn nie znał już prawie różnicy pomiędzy dniem a nocą. Kapłan stał w pewnego rodzaju zaułku o ścianach wypolerowanych i wyłożonych grubo masą gumową, głuszącą kroki. Poniżej, u stóp schodów, przelewały się dwa strumienie przechodniów, przedzielone przegródką i dążące w przeciwne strony w niemal absolutnej ciszy. Słychać było tylko szept esperanta, którym mówili idący. Przez

czyste szyby przejścia dla przechodniów, zrobionego ze szkła hartowanego, widać było szeroką, lśniąca czarną drogę, prążkowaną od końca do końca i pomarszczoną w środku. Droga ta była w chwili obecnej dziwnie pusta, z daleka jednak, od starego Westminsteru, dolatywał szum, jak z olbrzymiego ula, rosnąc coraz bardziej, aż nagle mignęło na drodze coś przezroczystego, buchając światłem z każdego kąta i oto szum zaczął przycichać, aż wreszcie umilkł zupełnie, w miarę, jak się oddalał wielki rządowy samochód, wiozący z południa na wschód pocztę. Bo droga, o której mowa, stanowiła uprzywilejowaną drogę rządową, dostępną tylko dla pojazdów państwowych, pędzących z szybkością nie przekraczającą 100 mil na godzinę.

W tym gumowym mieście inne hałasy wyciszono niemal zupełnie. Tory osobowe oddalone były o 100 jardów jeden od drugiego. Koleje zaś podziemne leżały zbyt głęboko, aby można było odczuć coś innego, jak tylko lekką wibrację. Ale i nad usunięciem tej nawet lekkiej wibracji, oraz szumu pojazdów rzeczoznawcy rządowi pracowali usilnie już od lat dwudziestu.

Zanim jeszcze Percy ruszył z miejsca, uszu jego doleciał z góry przeciągły krzyk, niezwykle harmonijny i donośny, a gdy oderwał wzrok od rzeki wielkiej, statecznej, która jedyna nie pozwoliła się opanować, ujrzał wysoko nad sobą, na tle ciężkich chmur długi przedmiot, połyskujący łagodnym światłem i sunący z majestatycznym spokojem w kierunku północnym. Był to jeden z szybowców linii europejskiej, zwiastujący śpiewnym krzykiem swoje przybycie do stolicy Anglii.

„Chyba że Pan nasz powróci” powtórzył Percy w myśli słowa wypowiedziane przez starca i przez chwilę nurtowało mu w sercu wspomnienie dawnego, pełnego nędzy bytu ludzkości. Jakże trudno utrzymać wzrok utkwiony w daleki widnokrąg, gdy tu, na pierwszym planie, widnieje świat tak pociągający wspaniałością i siłą! Och! Przed godziną zaledwie tłumaczył ojcu Francisowi, że ogrom to coś innego niż wielkość i że narzucająca się powierzchowność nie może wyłączyć subtelności